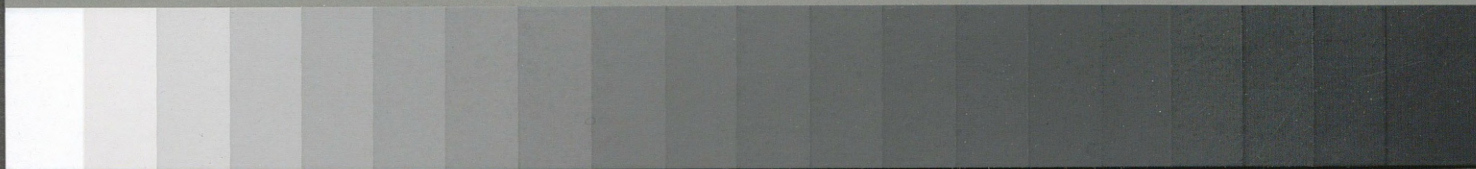




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



90.550
FRANCISZEK JAWORSKI.

OBRONA LWOWA

1655

LWÓW 1905.



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches
Centimetres
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19



36.550
FRANCISZEK JAWORSKI.

VI
OBRONA LWOWA

1655

LWÓW 1905.



JAN KAZIMIERZ

KRÓL POLSKI, W. X. LITEWSKI, RUSKI, PRUSKI, MAZOWIECKI etc.
(1649 — 1668.)

FRANCISZEK JAWORSKI.

OBRONA LWOWA

** 1655 R. **

WSPOMNIENIE DZIEJOWE W 250 ROCZNICĘ
OBŁĘŻENIA MIASTA PRZEZ MOSKALI
----- I KOZAKÓW. -----

LWÓW
NAKŁADEM GMINY KRÓL. STOŁ. M. LWOWA
1905.

355.91(438). 93/438/2



11194 | 1

WYDANO Z DZIENNIKÓW
Biblioteki Nowodewnej

Z drukarni W. A. Szykowskiego — Lwów, ul. Kopernika 1. 5.

1947 K. 185/4175



Óż to za gród pancerny, kolebka rycerzy, lub orle gniazdo, że z taką nań czcią patrzy i podziwem cała Rzeczpospolita? Co to za hetmańskie postacie ród swój z onego gniazda wywodzą, że im senat w Warszawie podziękowanie składa, dziwią się im męże uczeni, poeci ich czyny sławią, a po dwustu jeszcze latach woła historyk: „oto imiona godne historycznej pamięci“!

Ani kolebka rycerzy, ani orle gniazdo, ale Lwów to nasz — nadpełtwiański Lwów — nawet nie taki potężny, stołeczny, rozległy, jak dzisiaj — ale ten Lwów z przed lat dwustu pięćdziesięciu, województwa ruskiego skromna stolica, ściśnięty pasem murów i warowni, skupiony w dusznej i wąskiej granicy dzisiejszego śródmieścia, samych tylko kupców siedziba i rzemieślników.

Im to — miészczanstwu lwowskiemu przed 250 laty król, sejm i hetmani, cała Rzeczpospolita przyznała wieniec laurowy, opinia ich wyniosła w rządy pierwszych synów koronnych — „przedmurzem Polski i chrześcijaństwa“, ozdobą królestwa ich zwano, prze-

dnia strażą szanowaną ojczyzny — a pamięć ich czynów obchodzi wdzięczna potomność miłościwem latem rocznicy.

I słusznie zaiste, bo w tej chwili, od której półtrzecia wieku właśnie upływa, zachowanie się mieszczaństwa lwowskiego, wśród ogólnego potopu, który zagładą groził Rzeczypospolitej, było tego rodzaju, że dziś najwięksi nasi historycy niewahają się nazwać go najpiękniejszą kartą w dziejach mieszczaństwa polskiego w ogóle. Aż blask promienisty bije od tych nieustraszonych obrońców miasta własnego i całej Rzeczypospolitej, a samo ich wspomnienie rozsadza pierś... wiekiustą chwałą.

Bo wiekiustą jest chwałą, której dziejowe burze w pamięci zmazać nie mogą. Minął ogrom czasu, ludzkie pokolenia kładły się pokotem, a z nimi razem ich praca i tryumfy, ich czyny i bole. Zapomnienia całun spadał na Lwów stary i jego ludzi, otulał go cmentarzyskiem mogił, na których się nowe sprawy kolejną toczyły, nowe wzbierało życie, a z niem razem drugi, dzisiejszy rozkwit Lwowa.

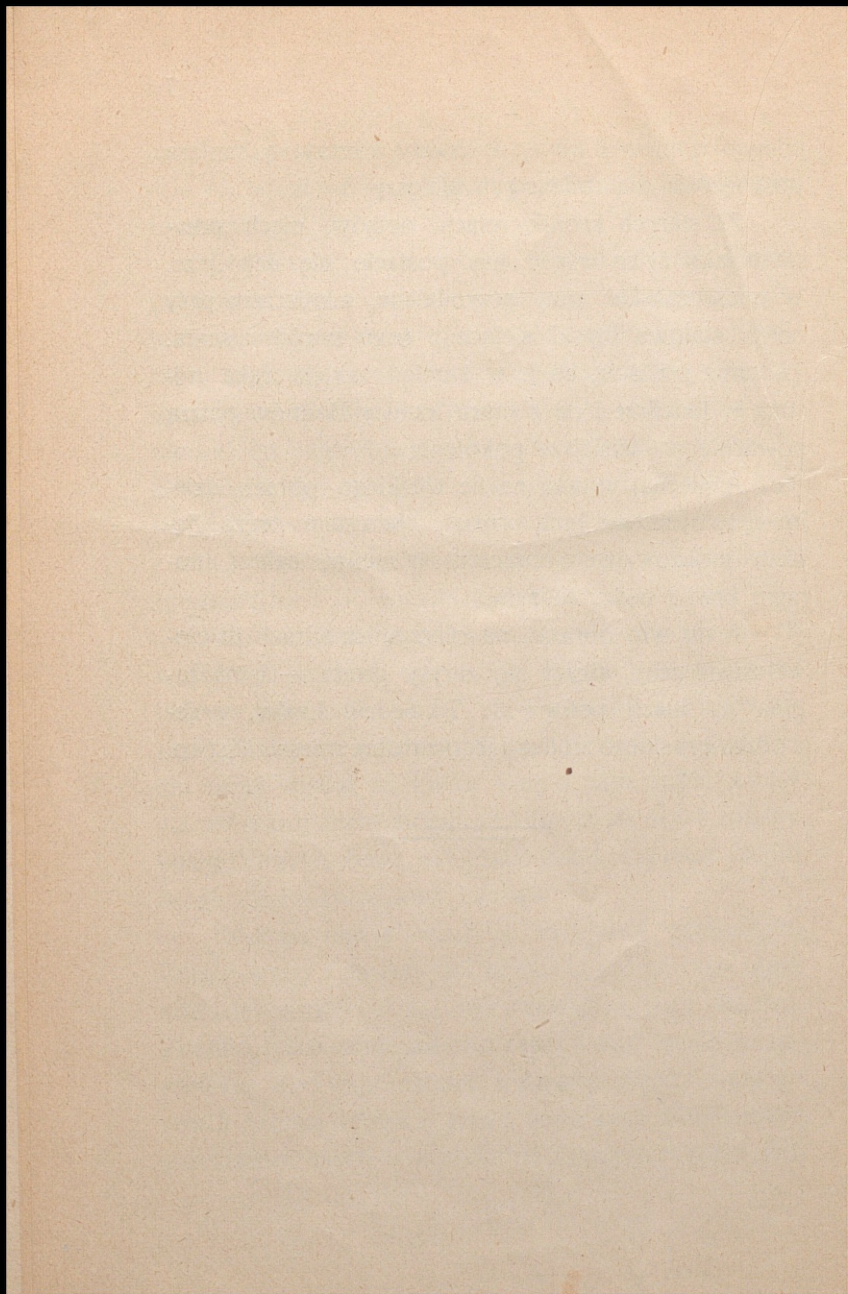
Nie ma nawet świadków rycerskiej przeszłości. Znikły mury, baszty, forteczne bastjony, nie masz miejskiej artylerii, ani mieszczaństwa przy mieczu. Zostało tylko silniejsze nad czasy i nad ludzkie wspomnienie, a to wspomnienie w dwustu pięćdziesiątą rocznicę niechaj roztoczy przed nami czar bohaterskiej przeszłości, niech w codziennej szarzyźnie zagra wo-

jennym rytmem i trwogi i chwały i szczytną fanfara poświęcenia dla rodzinnych pieleszy.

Ze starych kronik, relacji, opisów, niech powstaną jako żywe wśród nas postacie nie dzisiejsze. W mieszczańskie szaty przyodziane, z mieczem przy boku, stalowe błyski siejące z oczu swoich i serca. Te same postacie, co je w kamień zakłęła ręka mistrza w katedrze i co z muru kaplicy Boimów patrzą poważnie na dzisiejsze pokolenia.

A niechaj wstaną na tle wielkiego obrazu dziejowego, otoczone łuną pożogi, chrzestem oręża, jękiem mordowanych, płaczem brańców, całym morzem krwi i nędzy ludzkiej.

A na tym obrazie, na olbrzymich wirach dziejowej zawieruchy, okażą się zarysy grodu — istna łupina na falach potopu... To będzie Lwów, województwa ruskiego stolica i jego chobre mieszczaństwo.



I.

Ze śmiercią Władysława IV. w r. 1648 zamknął się złoty okres dziejów Polski — okres „szczęśliwości polskiej“ jak powiadali współcześni. Nie stało Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Koniecpolskich, w czasach długiego pokoju zbladły tryumfy kłuszyńskie, kirchholmskie, chocimskie, serca się jakoś zasklepiły w dobrobycie, wzrok zaniewidział na dalekie obszary potrzeb Rzeczypospolitej, na biegnące ku niej chmury, ukryte niebezpieczeństwa.

A tymczasem od wschodu wzbierała wiecznie się krwawiąca, ustawicznie rozjątrzana rana . . . Zaporoża. Groźni swoim i obcym, unicestwiający rozbojem całą wschodnią politykę Rzeczypospolitej, Kozacy zaporożcy czekali Archaniola, coby ich siłę rozhulaną użył jak należy dla dobra Polski, a przede wszystkim Rusi ich rodzonej, nad którą od wieków wisiała zmora Tatarów, a od niedawna szła jeszcze groźniejsza potęga tureckiego sułtanstwa. Żywioł nieobliczalny, wojenny i wojną tylko żyjący, szerokiem tchnieniem wolności owiany, któremu pięść i łupu nadzieja jedyną były polityką, drażniący ciągłymi napadami aż samą stolicę turecką Konstantynopol, stali się Kozacy siczowi wiecznie płonąca żagwią od wschodu, wiecznem niebez-

pieczeństwem nie tylko dla sąsiada, ale i Rzeczypospolitej.

Archanioła jednak nie stało, gniew Rzeczypospolitej i polityka panów polskich krwią Nalewajków i Pawluków pragnęła zalać niebezpieczeństwo, a Władysław IV. umarł właśnie w tej chwili, kiedy dojrzał prawie jego wielki plan wojny tureckiej, w którym to planie Kozacy pójść mieli przednią strażą na siedziby tatarskie, a potęga polska runąć równocześnie przez Wołoszczyznę na kraje sułtańskie.

Demoniczny los zrządził inaczej. Oto na Ukrainie powstał mąż dotąd nieznany, mściciel krzywd własnych, którego lawina olbrzymich wypadków i nadużycia kilku magnatów-królewiąt pasowały na hetmana buntu. Był nim Bohdan Chmielnicki. On pierwszy zamiast mścić na Tatarach krzywd swojego narodu, razem z Tatarstwem utopił swą ziemię w morzu krwi i pożogi, Rzeczpospolitą zaś postawił nad brzegiem przepaści.

Drogo jednak, serdecznie drogo okupił Chmielnicki sojusz swój z hanem tatarskim Islam-Gierejem i zwycięstwa z nim razem odniesione nad Polską pod Żółtymi Wodami, Korsuniem, Pilawcami. Bo ani wolności dla Rusi nie wyhetmanił, ani jej dobrej doli nie sprowadził. Krocie ludu ruskiego tego samego, który stał pod jego sztandarami i razem z nim siał mord i pożogę, brali Tatarzy w jasyr, jako zapłatę za sojusz... godną iście zapłatę za rzekomą nadzieję uwolnienia Rusi, którą równocześnie zagony kozacko-tatarskie niszczyły od Dniepru po Karpaty.

A kiedy się wreszcie Rzeczpospolita podniosła z chwilowej niemocy i rozgromiła krociove zastępy

Chmielnickiego pod Beresteczkiem (1651 r.), kiedy han tatarski wolał szukać przymierza z potężną Polską i chwać się począł w przyjaźni kozackiej, hetman Ukrainy, ten z mściciela krzywdy prywatnej wyrosły „obronca“ wolności ludu swojego, błogosławieństwem patriarchów wschodnich namaszczony bojownik wschodniego obrządku oddał Ruś swoją świętą Moskwie, na wiekową, prawdziwą niewolę.

Fakt oddania Rusi pod panowanie moskiewskie stał się dnia 8. stycznia 1654 na polach perejeśławskich. Car Aleksy nie zaprzysiągł ugody, jak to czynili królowie polscy, nie traktował z Chmielnickim jak Polska, ale przez usta bojara swojego Buturlina oświadczył, że mu już tylko pokorna prośba i łaska do tronu carskiego zostaje.

Chmielnicki słuchał więc już tylko rozkazów „c a r a w o s t o c z n o h o“ patrzył razem z pułkownikami swymi, jak Buturlin zaprowadzał porządek moskiewski, odbierał hołdy dla cara w Kijowie i Czernichowie, jak królewsczyzny obsadzał urzędnikami carskimi. I musiał posłać swego pułkownika Zołotareńkę z 20.000 Kozaków, aby wspólnie z Moskałami dobywali grodów litewskich, a sam z Buturlinem iść musiał na Ukrainę, bo ruszyli na niego obaj hetmani koronni, ze sławnym już Stefanem Czarnieckim w przedniej straży. Przymierze z Moskwą zdecydowało o przyjaźni tatarskiej. Tatarzy odpadli od niego stanowczo, a z przyjaciół stali się jego zaciętymi wrogami.

Zdawało się, że nawet sojusz z Moskwą Chmielnickiego nie uratuje. Pod Ochmatowem i Stawiszczami w styczniu 1655 Moskwa została rozbita, Chmielnicki z trudem umknął z pola walki. — Ale tymczasem zaszyły

wypadki, które Rzeczypospolitej ostateczną zagroziły zagładą: dalsze postępy oręża moskiewskiego na Litwie, najazd szwedzki Karola Gustawa i świeża wyprawa z Buturlinem na Ukrainę.

Jak dom na czterech węglach zapalony płonie jasnym płomieniem, a mieszkańców jego błądy strach ogarnia, tak od lipca 1655 r. płonęła Rzeczypospolita ogniem najazdu i co najstraszniejsze... hańbą swoich obywateli.

Szwedzi zajęli Wielkopolskę, a pod Ujściem wielkopolska szlachta podpisała haniebną kapitulację. Starożytna stolica Piastów — Poznań otworzył im swoje bramy, Mińsk, Wilno, Grodno i Kowno już przedtem były w rękach Moskali, a teraz hetman litewski Janusz Radziwiłł całą Litwę wydał Szwedom w Kiejdanach. Pochód Karola Gustawa w głąb Polski zamienił się w straszny pochód tryumfalny. Łączyli się z najeźdźcą wojewodowie i szlachta. Warszawa poddała się Szwedom dnia 20. sierpnia, w kilka tygodni Kraków po dzielnej obronie otworzył swe bramy Szwedom, na ich stronę przeszło i opowiedziało się wojsko kwarciane, składano tłumnie przysięgę na wierność nowemu królowi. Dla Jana Kazimierza nie stało kąta na ziemi polskiej — z nieliczną garstką, co mu wiary dochowała szukał schronienia na Śląsku.

Wieści te niby grom po gromie spadały na Lwów, rzucając popłoch i trwogę w pospólstwo, jakby zbliżał się już koniec świata i dzień sądu ostatecznego, a dzień bliski bardzo, bo oto od wschodnich rubieży szedł Chmielnicki z Buturlinem, a po przejściu wojsk jego, step ukraiński znowu wiał tylko pustką i zniszczeniem.

W lipcu stanęły wrogie zastępy pod Kamieńcem podolskim. Półczwarta tygodnia broniła się dzielnie ta twierdza niezdojta, a niebawem przyszła wieść do Lwowa, że Husiatyn wzięty, Czortków bronił się cztery dni i upadł, a jego właściciel Paweł Potocki, wojewodzie braclawski z żoną, dziećmi i czeladzią poszedł w długą niewolę. Załoga zamku Jagielnicy połączyła się z Kozakami, wydając mnóstwo szlachty w niewolę moskiewską.

Dzień za dniem nową przynosił trwozę. Chmielnicki wziął już Podhajce, własność hetmana wielkiego koronnego Stanisława Potockiego, a sam hetman znalazł się nieledwie w matni. Uniwersały jego z trudem zdołały zebrać wszystkiego 4.000 żołnierza pod Podhajcami i Sokalem. Wobec ogromnej przewagi wojsk kozackich i moskiewskich cofnął się hetman na szerokie pola pod Glinianami, a stamtąd pospiesznym marszem dążył po za Lwów, pod Gródek.

Szła wieść za wieścią do Lwowa, o coraz to nowszych nieszczęściach spadających na Rzeczpospolitą, więc trwoga padła na miasto nasze, ale w tej trwóde dziwnie się jakoś zapiekły serca ludzkie rezygnacją na śmierć, na utratę mienia, na pożogę, na mord, na zniszczenie.

Lwów czuwał i gotował się do obrony.

II.

Warownie miejskie patrzyły otworami strzelnic swoich w stronę nieprzyjaciela. Tak były silne i potężne mury podwójnym pierścieniem opasujące ob-

szar dzisiejszego śródmieścia, że patrzącym zdały się jako opoka niezdojta, o którą wróg każdy, swój czy obcy pierś swą rozporze. A na murze dziewiętnaście baszt wznosiło się dumnie ku niebu, baszt najeżonych działami, opancerzonych piersią rzemieślników lwowskich, co stawali cechami — każdy cech na swojej baszcie. I znowu wał potężny, forteczny, dwoma fosami ogrodzony — istny pas rycerski dawnego Lwowa.

A jednak ówczesny Lwów nie był i nie mógł być nigdy niezdojta fortcą. Położony w kotlinie o wieńcu wzgórz okolicznych, z których nieprzyjacieli wygodnie mógł zasypać pociskami obrońców i całe miasto, śledzić jak na dłoni wszystkie poruszenia załogi i upatrywać najdogodniejsze punkty do ataku — nie mógł ufać bezwzględnie murom swoim, a raczej tylko rezolucyi i bohaterskiemu duchowi mieszczan. Jeżeli więc panegiryczni pisarze ówczesnego wieku, wołali pompatycznie do rajców lwowskich: „przezacny senacie, rado poważna, murze z piersi i animuszów odważnych wystawiony“ to w tem porównaniu wiele było prawdy i wojennej racyi, którą i sama Rzeczpospolita uznała.

Po bohaterskiej bowiem pierwszej obronie Lwowa w roku 1648, zwrócono uwagę na Lwów, jako ważny punkt fortyfikacyjny. Łożono na utrzymanie jego fortyfikacji w dobrym i wojennym stanie, a w samym mieście stała zawsze załoga królewska, z królewskim komendantem na czele.

W chwili kiedy Chmielnicki z Buturlinem zbliżał się pod Lwów był takim komendantem Krzysztof Grodzicki, generał artylerji, w obronie miast niezróż-

wnany. On to za pierwszego najazdu kozackiego wślawił się ośmiomiesięczną obroną twierdzy nadgranicznej Kudaku i wiele szczerych mołojców posłał do ciemni grobowej. Żołnierz szczerzy, posępny, jednooki, bo go strzała tatarska drugiego oka zbawiła, z twarzą posieczoną od szabli i zeszpeconą od ospy straszny był w swojej nieustannej czujności i rezolucji, zawsze na śmierć gotowej. Ponury władca spiżowych pionów, szerzył postrach surowością swoją i powagą do rozkazów nawykłą. Na jego wspomnienie zgrzytał ongi zębami Tuhay-bey, a Chmielnicki podpiwszy sobie „psem jednookim“ generała mianował, choć jako człek sam wojenny, umiał cenić rycerski animusz drugich.

Jeszcze jednak nic nie było słyhać w r. 1655 o nieprzyjacielu, gdy pan Grodzicki wziął się do opatrzenia fos i wałów miejskich, a skoro pierwsze przyszły wieści, na jego rozkaz tłumy mieszczan i przedmieszczan rzuciły się do grabarki i ostatecznej naprawy fortów. Oporządzano mury i baszty, wytańczano na nie działa; przed bramą krakowską, która była na przecięciu dzisiejszej ulicy Krakowskiej i Skarbowskiej, stanął olbrzymi drewniany beluard, wieża wielopiętrowa z nastawionymi paszczami armat. Zwrócił także Grodzicki baczną uwagę na klasztor Bernardynów, który otoczony murem stanowił podówczas odrębną i zamkniętą dla siebie fortyfikację. Według jego planu okopano klasztor wałem, opasano silnym ostrogiem, a od frontu samego kościoła ustawiono na drewnianych wieżycach działa, których zadaniem było ostrzeliwać krzyżowym ogniem całą połąć murów miejskich w kierunku bramy Halickiej, stojącej wówczas

na przecięciu ulicy Halickiej i Sobieskiego, a narażonej na silne ataki nieprzyjaciela, który już w r. 1648 z tej strony, od wołoskiego mostu (róg ul. Kochanowskiego) przypuścił pierwszy szturm do miasta.

A tymczasem twoga rosła i bóg wojny rozpostarł niepodzielne pod Lwowem panowanie. Lato było właśnie na świecie, to lato, które ma się ku jesieni, a jest plonem obciążone i nadzieją. Cała okolica Lwowa, wszystkie jego przedmieścia zarumieniły się już ciężkim owocem sadów, na stokach góry Strzeleckiej i dalej aż ku górze piaskowej zieleniły się bujne winnice, pasieki mieszczańskie roiły się od pszczół pracowitych. Bo dawniej, tuż za murami miasta, na przedmieściach, dziś rzędami ulic i kamienic nasadzonych, zieleń panowała wśród dworów mieszczańskich i szlacheckich pałacyków, a cała okolica od św. Zofii, od Wysokiego Zamku stoków i domków Kaleczej góry kłoniła się miastu szumem drzew i zieleni, wieżycami kościołów i klasztorów, barwą pól uprawnych, całą zamożnością, bogactwem i dobytkiem mieszczańskim. Jeszcze wprawdzie tu i ówdzie widniały ślady zniszczenia z r. 1648, jeszcze Wysoki Zamek, zdobyty wówczas przez kozackiego pułkownika Krzywonosą, sterczał jak czarne opalone straszidło nad miastem a w murach jego jęczały nocą puszczyki i duchy pomordowanych mężów, niewiast i dzieci, ale zabiegliwość mieszczańska goiła już dawne blizny, wznosiły się nawet na nowo mury Wysokiego zamku. Teraz oto nowy huragan rozsalać miał nad lwowską kotliną.

Nie czas był tedy na sady i winobranie w obliczu wroga, co wichry pożogi zapalał, grody wywracał, morze krwi rozlał po świecie — nie czas na żniwa,

kiedy dobytek i tak na pastwę wroga pójdzie, a dworki, kościoły, domostwa zasłoną mu będą i punktem dogodnym do szturm, do posunięcia się aż pod same mury miejskie.

Kazał więc Grodzicki zniszczyć na przedmieściach wszystko, co tylko utrudnić by mogło obronę miasta. Burzyli żołnierze budynki okazałe, wycinali sady, winnice, rozkoszne gaje i ogrody, codziennie płonęły słupami ognia dworki mieszczańskie i gospodarstwa, aż dopóki w promieniu armat miejskich nie zostało tylko jedno czarne, puste pogorzelsko, cmentarz mieszczańskiego dobrobytu, ale i cmentarz także dla wrogów, coby tem pustem polem chcieli przystąpić do miasta. A nad tem pogorzelskiem królował Wysoki zamek dopiero co odnowiony, otoczony głębokimi fosami, blankami i wysokim ostrokołem, z wykopaną niedawno głęboką studnią, której brak przyczynił się głównie do jego upadku w r. 1648.

Dnia 23. września stanął we Lwowie hetman Stanisław Potocki z cofającą się szczupłą siłą polską. Przyniósł wieść, że Chmielnicki spalił Podhajce a za kilka dni już będzie pod Lwowem, poczem hetmańskie zastępy pociągnęły pospiesznym marszem dalej, pod Kamienobród i Gródek, gdzie je niebawem czekała klęska.

Lwów pozostał bez nadziei pomocy, zdany na własne siły. A siły te małe były, bo oprócz szczupłego garnizonu królewskiego, złożonego z wojsk zaciężnych pozostawało tylko mieszczanstwo i cechy do obrony murów, baszt i wałów. Dragonia piesza, zaopatrzona w dalekonośne samopały obsadziła kłasztor Bernardynów, pułk piechoty pod dowództwem

Ernesta Grotusa, człowieka mężnego i nieustraszonego stanął na Wysokim zamku, mieszczczyństwo pod przewodem rajców i burmistrza gotowało się do krwawych zapasów. A burmistrzował wtedy we Lwowie Jan Attelmajer, z pośród lwowskich patrycjuszów najdumniejszy i najbogatszy. Złożył mienie swoje, pasieki pod Wysokim zamkiem, sady i ogrody przedmiejskie na ołtarzu dobra publicznego, a sam jako skrzątny dowódca kierował zbrojnymi mieszczchanami, sam z rajcami i pułkownikami królewskimi chadzał nocami po wałach, kontrolując ronty i placówki, sam wreszcie doglądał sprawności strzelby miejskiej „dzielnej i ręcznej“, prochów dostatku i żywności dla załogi na czas ciężki. Razem z burmistrem i „człek pospolity“ gotował się do rozprawy, nie dając posłuchu trwodze ani rozszerzanemu postrachowi przez tych, którzy uciekali z miasta, chroniąc się w bezpieczne okolice.

Lew lwowski pazury nastawił i czekał.

Nie długie to było czekanie, bo już w kilka dni po wyjeździe hetmana Potockiego, pojawiły się pierwsze pułki kozackie i moskiewskie od strony gościńca łyczakowskiego i Winnik.

Była to sobota 25. września. Na widok nieprzyjaciela huknęły wszystkie działa z Wysokiego zamku. To dzielny Grotus dawał znak, że czuwa. Na to hasło zagrały wszystkie działa z murów miejskich, z baszt, z wieży cerkwi wołoskiej i ze wszystkich wież kościelnych. Lwów deszczem kul powitał nieprzyjaciela, nie żałował prochu i ognia — więc padło odrazu sporo mołojców, a wojenna ochota obleciała szeregi obrony. Był to jednak dopiero

początek bo Chmielnicki z Buturlinem, obawiając się dywersji ze strony wojsk hetmańskich, ruszyli z połową wojska pod Gródek, dla walnej rozprawy z hetmanem wielkim koronnym, a tylko druga połowa opasywała tymczasem Lwów, gotując się do długiego oblężenia.

Szczupłe zastępy wojska koronnego, po krwawej całodzienniej walce 29. września uległy dziesięciokrotnej przewadze liczebnej nieprzyjaciela i cofnęły się w nieładzie aż po za Bruchnał i dalej do Jarosławia. Chmielnicki i jego sprzymierzeniec nowym zwycięstwem zagrzani wrócili pod Lwów.

W dniach 30. września i 1. października pełna była już cała kotlina lwowska nieprzyjaciół tak, że jak okiem zajrzeć wolnego miejsca nie było w dwumilowym okręgu. Sam Chmielnicki stanął na górze koło cerkwi św. Jura, a obok niego i w koło 30 chorągwi kozackich gęsto ustawionych przez ulicę Sykstuską, za górą cytadelną aż po „lasek cesarski“. Byli z nim razem pułkownicy Jan Wyhowski, Paweł Tetera perejaśławski, Hrehory Silnicki mirgorodzki, Samuel Bohdanowicz, Tomasz Nosacz oboźny wojsk zaporozkich i wiele luda bitnego, co pamiętał jeszcze straszne pogromy Rzeczypospolitej, a i teraz upojon świeżem zwycięstwem pod Gródkiem huczał krwi żądny i wojennego zapachu. Las chorągwi powiewał nad nimi różnobarwnych, uherbionych w różne figury i delineacje, a od św. Jura chorągiew czerwona, buńczuk z białego końskiego ogona, druga chorągiew niby z herbem Chmielnickiego „Abdank“ haftowanym na białej kitajce i trzecia chorągiew ze świętym Michałem, wskazywały kwaterę hetmana Ukrainy.

Ale wszystkie te pułki kozackie nikły wobec ogromu zastępów Wasyla Wasylewicza Buturlina. One to otoczyły kołem miasto, a bez nich Chmielnicki ani by nawet mógł zamarzyć o otoczeniu Lwowa. Sam Buturlin stanął kwaterą przy dziś nieistniejącym już kościele św. Krzyża na trakcie janowskim, a w koło niego pułki moskiewskie rozlały się szeroko, rozpuszczając zagony aż po okolicznych wsiach. Na stokach Wysokiego zamku, na Żółkiewskim, na górze nad Bazylianami i koło ormiańskiego kościoła św. Anny (nad dzisiejszą łążnią) stało 10 pułków moskiewskich, jednakowo umundurowanych w barwę niebieską, inne podstały pod samo miasto, okalając je zwartym pierścieniem, inne wreszcie za klasztorem Karmelitów bosych na górze miały swoje leże i na halickim przedmieściu. U Moskali też była dobrze wyćwiczona i liczna artylerja. Część jej stała na górze Wronowskich (cytadela), druga część w winnicy t. z. Justgłacowskiej, za klasztorem Karmelitów na wysokości dzisiejszej ulicy Kurkowej, część trzecia na usypanych umyślnie szańcach w ogrodzie jezuickim.

W cyfrowem obliczeniu wojsk nieprzyjacielskich, które przystępowały do oblężenia Lwowa wahają się źródła historyczne. Wojska moskiewskie liczyły jednak od 40.000 do 60.000 dobrze wyćwiczonego i zorganizowanego żołnierza, pułki kozackie miały przeszło 20.000 ludzi, razem tedy do 80.000 wojska stanęło pod Lwowem.

Przeciwko tej ogromnej sile wojennej posiadał Lwów wszystkiego około 1500 zaciężnej piechoty królewskiej t. z. dragonii pieszej i drugie tyle może uzbrojonych mieszczan. Mimo jednak tak ogromnej

różnicy, która osłabić mogła serca najmężniejszych, nieliczna załoga lwowska nie traciła odwagi. Dodawał jej ducha mężny Grodzicki, stawali na czele rajcy z burmistrzem. Wobec niebezpieczeństwa umilkły wszystkie dzwony kościelne, stanęły zegary na ratuszu i na halickiej bramie, a wśród gwaru wojennego i powszechnego przygotowania na śmierć unosił się dym kadzideł, wraz ze śpiewem procesji po murach miejskich, polecających gród całej opiece patronów niebieskich.

Nie próżnował i Wysoki zamek. Jeszcze pułki nieprzyjacielskie nie zdołały się dobrze ulokować, a już od bram jego spadała na nie wycieczka obrońców. Zakotłowało w tamtej stronie od walki ręcznej i okrzyków wojennych, którym przygrywała muzyka całej artylerji miejskiej i działa nieprzyjacielskie z wysokości góry Wronowskiej. Ale puszkarze moskiewscy źle trafiali, co im przyznaje bez zastrzeżeń regent 40 mężów pan Dobieszowski, który w tych ciężkich chwilach dyarjusz sobie spisywał i z humorem opowiada, że z tej strzelaniny „babina stara, bydłat dwoje kwiczące i ryczące śmierć potkali“.

Noc czarna przerwała walkę na chwilę, ale już ze świtaniem dnia następnego, 3. października huk armat nieprzyjacielskich odezwał się na nowo. Przez cały dzień przelatywały kule nad wieżą kościoła katedralnego i ratuszową, spadały na mury miejskie i dachy kamienic. Nie próżnowali też i puszkarze miejscy, rażąc przez cały dzień celnymi strzałami przewijające się grupy najedźców.

Był już wieczór, kiedy pod furta jezuicką stanął trębacz z białą chorągwią i listem od Chmielnickiego do miasta.

III.

Nieustraszona postawa obrońców, pewność, że Grodzicki zdolny jest raczej do wysadzenia siebie i miasta w powietrze, aniżeli do wydania go w ręce nieprzyjaciela, głucha zresztą niechęć do Moskali, odbierających mu wawrzyny wszystkich zwycięstw, a zwłaszcza zwycięstwa pod Gródkiem, poddały Chmielnickiemu myśl, że lepiej rozpocząć układy. On więc był pierwszym, który zażądał parlamentowania, a list jego z 3. października jak i następne nacechowane były tą wschodnią, przebiegłą dyplomacją, w której Chmielnicki był mistrzem. Zaczynał zwykle od łagodnych zapewnień życzliwości, potem wspominając to na zwycięstwo pod Gródkiem i na to, że żadnego ratunku miasto znikąd się nie może spodziewać, to na obsadzenie Krakowa i ucieczkę Jana Kazimierza, żądał upokorzenia się i zdania na łaskę i niełaskę jemu „hetmanowi wojsk zaporozkich jego carskiej mości“ (t. j. cara moskiewskiego).

Odpowiedzi od miasta były grzeczne, z całą stylową elegancją swojego wieku redagowane. — Nic zresztą dziwnego, pisali je przecież doktorowie obojga praw najróżniejszych uniwersytetów. Ale w tych stylowych zawijasach, panegirycznej grzeczności, było dużo stanowczego tonu, a przede wszystkim konsekwentnego stanowiska, że od przysięgi wierności, złożonej Janowi Kazimierzowi miasto nie odstąpi, z najeźdźcą to jest Buturlinem, nie chce mieć do czynienia, z samym jednak Chmielnickim układy prowadzić będzie, ale z wielu zastrzeżeniami.

Żyłka i spryt prawniczy panów ratuszowych objawia się w tych oświadczeniach, pisanych wśród grzmotu armat, ale mimo to z całą kwiecistą frazeologią aktów ratuszowych. Najsilniejszym argumentem obrony była bezwątpienia pięść, ale wiadomo, że czasem i perswazja dużo znaczy. Powołują się też na prawo narodów, wyrażają afekty uszanowania dla osoby Chmielnickiego, trafiają do niego ubocznymi drogami przez równoczesne listy do Wyhowskiego. Na żądanie Chmielnickiego, aby mu przysłali posłów swoich do pertraktacji proszą go nawzajem o zakładników, dając tem niedwuznacznie do zrozumienia, że mimo wszelkich zapewnień przyjaźni uważają go za wroga, a kiedy wreszcie Chmielnicki obrażony zapewnia uroczyście, że posłom włos nawet z głowy nie spadnie, zwołują na ratusz zgromadzenie rajców ławników, wojskowych znaczniejszego stopnia i wszystkie stany miasta dla naradzenia się nad wyborem posłów.

W ten sposób oni wzajemne listy do siebie pisali przez całe trzy dni, a równocześnie ze stron obu ani na chwilę nawet nie zaniechano kroków nieprzyjacielskich. Wśród gradu kul spadających do miasta spieszyla wieczorem 5. października do ratusza na narady rajcowie miasta, ławnicy, wszystkie „stany i narody“ mieszkające w mieście. Przybył też Grodzicki, więcej do walki niż do układów skłonny ze swymi pułkownikami, przybyło ze szlachty wielu personatów z podstarościm lwowskim i wojskim ziemi lwowskiej na czele. Narady były burzliwe. Grodzicki i jego pułkownicy niechcieli nawet słyszeć o tem, ażeby posłowie miejscy szli do Chmielnickiego bez zakładni-

ków — tak przecież chciało prawo wojny, a los tego poselstwa zdawał się im bardzo niebezpieczny, wobec wściekłości Chmiela, gdy usłyszy z góry odmowną odpowiedź na wszelkie żądanie wydania miasta w ręce cara moskiewskiego. Sprytni jednak mieszczanie byli innego zdania — wszak oni kupczyć i handlować przywykli wśród najniebezpieczniejszych okoliczności, ich karawany kupieckie to były prawdziwe wyprawy wojenne — z równą dzierzyli obrotnością miecz w dłoni, jak język w gębie, a dawno powiedział ktoś, że „Lwowczyki już w łonie matki są krasomówcami i politykami“. Dlaczegożby więc i teraz nie mieli skorzystać z uprzejmych zaprosin Chmielnickiego, zrozumieć i wy badać dalsze jego zamysły. Wybrano więc posłów w osobach mieszczan Samuela Kuszewicza płynnego mowcy, doktora praw, pisarza miejskiego, kupca i płodnego autora, który siła ksiąg w życiu przewertował i wiele sam napisał, Krzysztofa Zachnowicza Ormianina, co ród swój z seniorów ormiańskich wywodził a sam był podówczas seniorem nacji ormiańskiej i Pawła Ławrysiwicza seniora Rusinów, kupca bogatego. Nie zdało się braci szlachcie i duchowieństwu wypuszczać tak zacnych ludzi na niebezpieczną rozmowę z Chmielnickim, ale ci oświadczywszy, że „nie rozumieją, aby większe ich niebezpieczeństwo w taborze, aniżeli na wale potkać miało“ i przybrawszy sobie jeszcze do towarzystwa ławnika Jana Gąsiorkiewicza i syndyka miejskiego Jana Chomickiego ruszyli dnia 6. października przez furkę jezuicką do kwatery Chmielnickiego u św. Jura. Za murami miasta przywitał ich trębacz i asawuła wojska zaporozkiego Jan Kowalowski.

Poszli tedy posłowie ulicą Sykstuską do świętego Jura. Po drodze mijali pułki najpierw moskiewskie, a potem kozackie wśród grzecznych wzajemnych ukłonów — zwyczajnie jakto bywa między stronami wojującymi, gdy idą posłowie pod białą choragwią. Wiadomość o ich przybyciu rozbiegła się lotem błyskawicy, tak że niebawem góra świętojurska zaroiła się tłumami kozaków, żądnych oglądania oblicza posłów miasta Lwowa. Ich zaś samych zaprowadzono najpierw do namiotu asawuły Kowalowskiego, a stamtąd uroczyście do Chmielnickiego, który w namiocie w otoczeniu swoich pułkowników siedział przy stole, a obok niego poseł króla Jana Kazimierza Władysław Lubowidzki, poseł tatarski i chytry Greczyn Jani, pośrednik dyplomatyczny między Moskwą a Chmielnickim. Po wymianie wzajemnych grzeczności kazał Chmielnicki ponadto przywołać, widocznie dla podniesienia powagi chwili i wywołania odpowiedniego nastroju dla słów swoich, wojewodzica braclawskiego Pawła Potockiego wziętego do niewoli w Czortkowie i Sieradzanina Pawła Bykowskiego wziętego pod Gródkiem, a nadto posłał umyślnie po dwóch pułkowników moskiewskich kniazia Romadonowskiego i Grotusa, imiennika obrońcy Wysokiego zamku.

Jeżeli jednak myślał wódz Zaporozża, że tak imponującym zgromadzeniem, a najbardziej klęską hetmańską pod Gródkiem, od czego zaczął przemowę do posłów, przytłoczy skromnych „łyków“ lwowskich i olśni swym majestatem, to się bardzo pomylił. Bo była w mieszczaństwie lwowskim zbyt duża siła kultury, wykształcenia, powagi nabytej nauką, było

zwyczajne obcowanie z najznakomitszymi ludźmi w Rzeczypospolitej, którzy żywe pisemne i osobiste utrzymywali z tem mieszczaństwem stosunki, było wreszcie wielkie obycie z ludźmi i ogłada cywilizacyjna. Nie stropili się przeto posłowie miasta Lwowa wobec tak groźnego zgromadzenia, ale płacąc za grzeczność grzecznością usiedli swobodnie przy stole, przysłuchiwali się dyskusyi, która toczyła się głównie koło pogromu gródeckiego i notowali skrzętnie, a sprytnie swoje obserwacye. Już im wtedy z rozmowy stało się jasnem, że między Chmielnickim a Buturlinem wre głucha zawiść o pierwszeństwo i laury zwycięstwa gródeckiego, zanotowali sobie też pilnie jaką radością napełniło Chmielnickiego i jego pułkowników stwierdzenie faktu przez Potockiego wojewodzica braćławskiego, że o zwycięstwie gródeckiem zadecydowała głównie piechota kozacka.

O wydaniu miasta nie było mowy nawet na tem posiedzeniu. Nastąpił wielki traktament i znowu wymiana naszpikowanych grzecznością listów wzajemnych, a zarazem to samo przypieczętowanie ich gwałtowną strzelaniną na miasto, w chwili gdy posłowie z listami wracali do domu.

Nazajutrz 7. października rano ruszyło znowu to samo poselstwo do obozu Chmielnickiego, a gdy mu Wyhowski zwrócił uwagę, że było by dobrze, aby także Buturlinowi złożyli wizytę, wydelegowali ze swego grona trzech, którzy poszli do kwatery wodza moskiewskiego, z nakazem jednak aby się z nim niewdawali w żadne pertraktacje. Buturlin przyjął ich groźnie i z fukiem, żądając natychmiastowego poddania się miasta i przysięgi od mieszczan i gubernatora

Grodzickiego na imię cara moskiewskiego. Wysłańcy odpowiedzieli krótko i stanowczo a odmownie, poczem wróciwszy do swoich, do kwatery Chmielnickiego, powtórzyli im całą rozmowę.

Chmielnicki znajdował się w tym samym orszaku co wczoraj, w otoczeniu pułkowników, posłów obcych i jeńców z pod Gródka. W tem Kuszewicz dowiedziawszy się o wyniku wizyty u Buturlina zapytał ze zdziwieniem, czy by to była prawda, że wódz moskiewski żądał wydania Lwowa Moskwie.

Cała grzeczność, układność, afekty przyjaźni dla miasta znikły u Chmielnickiego, jakby powiewem zimnego wiatru zdmuchane—został tylko nieprzyjaciel wyniosły, dumny, pewny zwycięstwa. Suchym więc i rozkazującym tonem odparł, że tak być musi, że Lwów musi się poddać i przysiąc Moskwie wierność.

W tej chwili dziki kozak, szeroka natura odezwała się też i u Wyhowskiego. Począł bić pięścią w stół i z wielką furją wołać — „musi być tak, jak chce Wasyl Wasylewicz — dla was Lwowianie żadnego już nie ma ratunku, już wam nawet i Bóg nie pomoże, bo Go nie ma przy was. Całe królestwo wasze padło — króla nie macie — a dokąd kozacka szabla zaszła i kozackie też dominium być musi.“

Na to powstał Samuel Kuszewicz i poprosił, aby mu było wolno mówić imieniem kolegów swoich i miasta całego.

„ — Mówcież — macieli mówić — zawołał porywczo Wyhowski — a mówcie bezpiecznie i śmieie, bo tu nie żarty.

Piorunująca cisza zapanowała w zgromadzeniu, a Kuszewicz zaczął:

„Miłościwy panie hetmanie! Długimi słowy nie będę bawił Wielmożności Waszej. Zdrowia nasze, którzy tu jesteśmy są w rękach Waszmości Pana i tak już rozumiemy, że się z miejsca tego do swoich nie powrócimy. Ale żebyśmy na imię cara moskiewskiego przysięgę i miasto oddawać mieli, tego nigdy nie uczynimy. Przysięgliśmy raz królowi naszemu miłościwemu Janowi Kazimierzowi i onemu, w jakimkolwiek szczęściu schowa go fortuna, wiary naszej dotrzymać chcemy. Mamy nadzieję, że łaską Boga, za staraniem Waszmości i wojska zaporozkiego wróci do swoich dzierżaw. A teraz gdybyśmy bez wszelakiej potrzeby i gwałtu (którego za łaską Bożą nie mamy) mieli porywczu prawdziwemu Panu wiarę złamać, a nowemu przysiądz, cobyś Waszmość nasz miłościwy pan ze wszystkim wojskiem swoim o lekkości naszej rozumiał i jakobyś na potem, albo też i sam car moskiewski, którego się w ogóle wyrzekamy, o cnocie i wierze naszej powiedział. Uniżenie tedy prosimy, nie racz po nas tego wyciągać, czego szanując naszą wierność i sumienie, czynić nie możemy“..

Tu przerwał, a równocześnie inni posłowie, a więc pan Zachnowicz Ormianin, pan Ławrysiewicz Rusin, wraz z panami Gąsioriewiczem i Chomiczkiem wołać poczęli wielkim głosem:

„Przy królu Jegomości Janie Kazimierzu, panie naszym miłościwym do gardł naszych stawać i krew naszą wylewać zawsze sąśmy gotowi!“

I uśmiechnęło się w tej chwili niebo chmurne nad Polską, a obecnych przeszedł dreszcz grozy i powagi historycznego momentu.

Słuchał słów onych wielkodusznych poseł niešťczęsnego Jana Kazimierza z wielką rozkoszą, pałrzył z podziwem na rycerskich mieszczan poseł tatarski, a w duszach starszizny kozackiej zagrało coś niby surma rycerska, niby wspomnienie onych dawnych minionych lat, kiedy to pułki, zaporozkie z koronnem stawały wojskiem, w koronnej potrzebie.

Sam stary Chmiel jakoś się zadumał, a perejaśławski pułkownik Tetera nie mógł usiedzieć na miejscu, ale podszedłszy ku posłom szepnął im „*sitis constantes et generosi*“ — bądźcie nadal stałymi i szlachetnymi.

Oświadczenie posłów lwowskich w takiej wyrzeczone chwili i w takich okolicznościach stało się czynem wiekopomnym, historycznym. Podziwiać nam dziś jeszcze trzeba niezachwianą wierność, ale zarazem i mądrość polityczną tych lekceważonych w ustroju państwa polskiego „łyków“, którzy w chwili ogólnej zdrady i poniżenia nie tylko sami spełniali i krwią własną pieczętowali wierność królowi, ale także w sposób skromny a niedwuznaczny przypomnieli ją Chmielnickiemu i jego pułkownikom.

I któż to powiedział? Samuel Kuszewicz, Krzysztof Zachnowicz, Paweł Ławrysiewicz — nazwiska nieherbowe — rodowód... tylko „śławetny“ — pochodzenie... gminne. Nie byli solą w narodzie, ani jego hetmanami, ani radą, ani sądem, sumieniem, trybunałem, potęgą. Ich przodkowie takie same „łyki“ — potom-

kwie przeszli bez śladu i wspomnienia — a ot w tej chwili trzy te postacie wzniosły się na wyżyny, na których już tylko skrzydeł orlich lot słyhać olbrzymi, zabłyśły wśród chmur ciężkich, jak jedyne jasne światółko.

Nie mniej dumne i stanowcze było zakończenie układów tego dnia :

„Szkoda czasu trawić więcej miłosciwy panie hetmanie. Nic już innego nie powiemy, tylko to po tysiąc razy powtarzamy, że my, póki żyje król Jego-mość Pan nasz miłosciwy Jan Kazimierz, komu innemu przysięgać nie będziemy.“

Było to ostatnie słowo, ultimatum po wszelkiej formie. Tak też zdawało się zrozumiał je Chmielnicki, bo posłowie nie zdołali jeszcze wrócić do miasta, gdy w tem ze wszystkich stron zagrzmiały działa i ręczna strzelba, nie wyrządzając jednak miastu żadnej większej szkody.

IV.

Noc z 7. na 8. października przeszła w trwodze i oczekiwaniu. Oto się już zdawało, że miecz zawisł nad Lwowem. Przeszło tydzień trwało oblężenie, a teraz układy zerwane i przyjść musiało do stanowczej rozprawy orężnej. To też nie małe było zdziwienie w mieście, gdy rankiem 8. października stanął u furty jezuickiej trębacz, jak zwykle po posłów. Miasto jednak nie miało nic więcej do powiedzenia nadto, co wczoraj powiedzieli posłowie, więc zamiast nich wysłał magistrat list tylko, z oświadczeniem, że

się zgadza na postępowanie posłów swoich, oraz że: „wszyscy obywatele miasta Lwowa obojej płci i mali i wielcy gotowi się dać pozabijać i trupami położyć: wprzód, aniżeli na imię cara przysięgać“.

Nastały dwa dni piekielne. Huk armat nie milkł ani na chwilę z obu stron, a na miasto padał grad kul, które niby ptaki gęsto latały nawet po rynku. Równocześnie Moskale poczęli ustawiać baterje w jezuickim ogrodzie, sypać wały i robić podkopy na miny podziemne od strony kościoła Bernardynek (Klarysek przy ul. Łyczakowskiej) i od strony bożnicy (przy placu Krakowskim). Wszystko to jednak nie wzruszyło ani na chwilę animuszu obrońców. Armata miejska grała dzielnie bez przerwy, a celny strzał wymierzony z wieży kościoła katedralnego, rozerwał działą moskiewskie w jezuickim ogrodzie na sztuki. Było to 8. października. Huk straszny wstrząsnął powietrzem, a kiedy opadły dymy, okazał się oczom najedźców przerażający widok: baterja zniszczona, obok pokotem puszkarze, żołnierze moskiewscy i kozacy, kapitan gwardji moskiewskiej i znaczny jakiś pułkownik.

Wściekłość targała sercami nieprzyjaciół. Zgrzytała zębami Wasyl Wasylewicz Buturlin, skakał Chmielowi do oczu pułkownik Nosacz z żądaniem powszechnego szturm, ale on, wódz doświadczony nie chciał pchać mołojców swoich, raby boże, w objęcia matki śmierci. Duch jego ogarniał szerokie stopy Ukrainy, która za chwilę jęknąć miała pod kopytami hordy tatarskiej, sumował nad nieszczerością Moskwy, a sam myślał już o leżach zimowych — bo zima już była bli-

ska, droga do dom daleka, a przyszłość jakaś chmurna i niepewna.

To też drugiego dnia (9. października) nad wieczorem wśród największego gwaru wojennego przyszedł nowy list od Chmielnickiego z żądaniem nowych układów. Pisał także i Wyhowski z zapewnieniem o swojej protekcji i życzliwości dla miasta. Magistrat odpisał i znowu zaczęła się kwiecista korespondencja z żalami po stronie Chmielnickiego, że „zacząwszy traktować z nami przyjaźnie, znowuście zaniechali i już do nas nie wysyłacie. Jeżeli tedy sobie życzyacie przyjaźni naszej, wysyłajcie do nas ludzi znacznych, my onym wszelką łaskę i przyjaźń opowiemy... i naprzód zaraz wysyłajcie, dając nam znać, kiedy zechcecie, czy dzisiaj, czy jutro z nami traktować“. Zapewnieniom przyjaźni nie przeszkadzały wcale granaty, które wyrzucał Grodzicki z miasta do taboru kozackiego, czyniąc kozakom dotkliwe szkody. Poszli tedy znowu posłowie do kwatery Chmielnickiego, gdzie wysłuchać musieli jego przemowy, że oto on, Chmielnicki jest już panem całej ruskiej ziemi i nikomu jej nie puści. Z tytułu zapewne tego panowania zapytał wreszcie, czegooby miasto od niego potrzebowało, ale odpowiedź była krótka i dosadna, „aby jako najprędzej wojska zaporozkie, ale najbardziej moskiewskie stąd ustąpiły“.

Wtedy poraz pierwszy padło z ust Chmielnickiego słowo „okup“ jako nowa podstawa rokowań i żądanie, aby dla tych rokowań miasto przysłało „ludzi wszelkiego stanu“. Nastąpiła znowu serja listów, ale też i nowa strzelanina z obydwu stron tak gęsta

i zapalczywa, że nawet sami posłowie, wracający do domu, znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie.

Tymczasem Grodzicki zawsze uważał, że jednak najlepszym układem jest szabla, a bardzo wymownym listem pocisk armatni. To też kiedy na ratuszu podpiskowie pocili się nad przepisywaniem listów kwiecistych do Chmiela, on zorganizował wycieczkę za mury miejskie. Spadł tedy niespodzianie oddział obrońców na karki moskiewskie, wyrznął sporo żołnierzy, a dwu żywcem i w tryumfie do miasta sprowadził. Tak to się oni bawili gdy na drugi dzień 11. października wśród nieustannego z obu stron strzelania poszło znowu poselstwo do Chmielnickiego, do którego przyłączyli rajcy Ubaldini, Alembek i Olkusi. Układy trwały dwa dni wśród ustawicznego huku armat. Chmielnicki groził, to znowu czule do stołu zapraszał na pijatykę. Groźb słuchali wysłańcy obojętnie, kielichem wina nie pogardzili. Bo się i zabawić umiała brać mieszczańska hucznie i buńczucznie, Chmiel także nosił głowę nie od parady, a rycerskich ludzi szanował, więc też wśród grzmotu armat nie rzadko rozlegał się w kwaterze Chmielnickiego trzask rozbijanych pułkufków i biesiadne odgłosy.

W dwa tedy tygodnie po rozpoczęciu oblężenia i po dwudniowych bezskutecznych naradach przeplatanych bankietami na cześć posłów lwowskich, wystylizował wreszcie Chmielnicki dnia 13. października punkty i warunki, pod którymi gotów byłby odstąpić od miasta. Warunki te były następujące:

1) Mieszczanie i załoga mają wykonać przysięgę że wojsk kozackich, ani moskiewskich, po ustąpieniu gromić nie będą, ani zabierać w niewolę rozprószo-

nych w okolicy oddziałów. W zamian za to obiecywał Chmielnicki nie palić wsi i folwarków.

2) Okupu wypłaci miasto 400.000 złp., a nadto mnóstwo sukna, kozuchów i butów dla wojska a „półgranatów“, „karmazynu“ i innych lepszych sukien dla starszyny. Dalej wyda miasto 50 centnarów ołowiu, oraz wszystkich jeńców kozackich i moskiewskich.

3) Żydów, iż są nieprzyjaciele Chrystusowi i wszystkim chrześcijanom, żeby ze wszystkimi majątnościami i z dziećmi i żonami wydani byli.

4) W razie gdyby rycerstwo, szlachta i obywatele lwowscy po odstąpieniu Kozaków i Moskali gromili i w niewolę ich brali, miał będzie Chmielnicki prawo zostawić pod miastem załogę.

Dyplomacya ratuszowa, poparta dzielnie orężem odniosła pierwszy tryumf. Po dwu tygodniach oblężenia przekonał się Chmielnicki, że Lwowa niedostać nie tak łatwo ani siłą, ani groźbą, ani podstępem. Zaprzagnął przynajmniej zakosztować bogactw miejskich, mołojcom swym rzucić żydów lwowskich na rzeź, a gdy się nie udało wymusić przysięgę wierności dla cara, to chciał już byle jakiej przysięgi, bodaj na to, że skromna liczba mieszczan gromić nie będzie... jego tysięcznych zastępów.

Miasto potraktowało te skromne życzenia z pewnego rodzaju humorem. Niech sobie tylko wojsko zaporozkie i moskiewskie pójdzie z pod Lwowa, to może być pewne, że mu ani włos z głowy nie spadnie: „żadnej turbacyi i szkody mieć nie będzie“. Nawet przysięgi na to zgoła nie potrzeba i miasto żadnego „juramentu“ nie da. Co się tyczy okupu to

w takich ciężkich, wojennych czasach możeby się znalazło ze 20.000 złp., ale i to nie w gotówce, tylko w towarach i ruchomościach. Natomiast nie ma mowy nawet o wydaniu ołowiu na uzbrojenie nieprzyjaciela, zresztą może się Chmielnicki zadowolnić tym ołowiem którzy jego i moskiewscy żołnierze... zdarli już z dachu kościoła św. Krzyża — jeńców wydadzą z ochotą jeżeli tylko w zamian swoich z powrotem otrzymają. Natomiast z całą stanowczością odrzucają warunek wydania żydów w ręce wojska zaporozkiego — w żaden sposób, nigdy na to nie pozwolą. Załoga kozacko-moskiewska pod miastem wcale nie jest potrzebna, bo wystarczy ta jaka jest... królewska.

I znowu dziwić się trzeba sprytowi kupieckiemu, który kwestyę okupu nawet umiał zręcznie i po kupiecku sfinansować, wyższą oczywiście ceną towarów, oraz stanowczość obywateli Lwowa. Odrzucili nawet wszelkie pozory jakiegoś poddania się, czy przysięgi, trwając niezłomnie przy żądaniu „aby wojsko tak moskiewskie, jako i zaporozkie bez wszelkiej zwłoki od miasta odstąpiło“. Wydanie znowu amunicji, chociażby tylko w formie ołowiu, a więc materiału wojennego, mogło się wydać (w pojęciu prawnym) upokorzeniem i uznaniem jakiejś zwierzchności — i to więc *a limine* odrzucają posłowie, przyczyniając jeszcze gryzącej ironii o obdarciu dachu kościelnego.

A już prawdziwie pięknym, szlachetnym, po nad zwykłą miarę sięgającym jest fakt, że nawet dla własnego ocalenia nie chcieli poświęcić tych upośledzonych wówczas na całym świecie, prawdziwych parjasów społecznych, żydów. Fakt ten stanie we właści-

wem świetle, gdy się przypomni ile miasto kosztownych procesów z nimi prowadziło, z jakimi trudnościami chronić musiało rzemiosła swoje, kupiectwo, handel przed ich konkurencją z jaką wreszcie niechęcią odnosiło się do tego żywiołu, mianując go „merkuryuszem w żyłach społeczeństwa“. Raz poraz wybuchała ta otwarta niechęć w rozruchach ulicznych, żacy ze szkoły katedralnej w ustawicznej wojnie z żydami pozostawali. A tu tymczasem nadarzała się sposobność pozbycia się ich za jednym zamachem, przez wydanie ich w ręce wroga, szczególnie na żydowstwo zawziętego. Z pewnością by Chmielnicki nie żywił ani mężów, ani niewiast, ani dzieci żydowskich. Wszak wiadomo, że kozacy najdzikszych się na narodzie żydowskim dopuszczali okrucieństw, wszak wówczas wszystkie synagogi na całym świecie rozbrzmiewały co sobotę wielką klątwą na Chmielnickiego, przekleństwem „żeby imię jego na wieki było wymazane“.

Ale mimo niechęci i sporów mimo faktu, że po oblężeniu w r. 1648 żydzi przyczynić się nie chcieli nawet do ponoszenia części okupu, widziało w nich mieszczaństwo lwowskie współobywateli, zapamiętało im udział w obronie własnego gniazda w czasie pierwszego oblężenia, kiedy to żydzi dzielnie stawali na wałach od furty bosackiej (koło wołoskiej cerkwi) aż do klasztoru Bernardynów.

Węc mimo wszelkich korzyści, mimo, że Chmielnicki razem z Wyhowskim w czasie układów główny na ten punkt kładli nacisk i od niego odstąpić nie chcieli, miasto z całą stanowczością, tak samo zresztą, jak w czasie pierwszego oblężenia w r. 1648 odparło

to żądanie i nawet nad niem dyskutować nie chcieli wysłańcy miejscy.

Prawdziwie wielkoduszny fakt, wychodzący znacznie ponad pojęcia swojego wieku.

V.

Nadszedł wreszcie ostatni akt tego pamiętnego oblężenia, którego dzień każdy co raz to większą okrywał chwałą miasto, co raz to nowy mu dorzucał liść wawrzynu. Na górze świętojurskiej w kwarterze Chmielnickiego toczyły się nie przerwany ciąg układy. Codziennie z rana wychodzili posłowie przez furtę jezuicką z miasta i wieczorem dopiero wracali do domu, codziennie też witał ich wyjście i powrót grzmot armat i szczęk oręża. Tak już przywykli do nieustannej strzelaniny posłowie, że nie robiła ona na nich żadnego wrażenia. Kule im między konie padały, przelatywały nad głowami, a im to nawet rozmowy nie przerywało ani zadumy nad dalszym planem działania.

A ogromnego trzeba było wysiłku myśli do prowadzenia układów w tej decydującej chwili, bo Chmielnicki i Wyhowski zrezygnowawszy ze zdobycia miasta, chcieli wytargować za to jak najdalej idące korzyści. Każdy dzień przynosił nowe groźby: raz skakał wysłańcom do oczu Wyhowski, jakoby miasto Lwów lekceważyło obrządek wschodni i wyznawców jego uciskało — zarzut podniesiony tylko dla wywarcia nacisku, a tem nieprawdziwszy, że przecież sam władca ruski Arseniusz Żeliborski, chronić się musiał

ze swojej stolicy u św. Jura do miasta, a między wysłańcami znajdował się jeden z najwybitniejszych Rusinów ówczesnych Ławrysiewicz. Innym razem znowu Chmielnicki wsparłszy się pod boki przedstawiał nieszczęścia i klęski Rzeczypospolitej, upadek Krakowa a własną potęgę, to znowu opowiadał z jaką trudnością powstrzymuje Moskali a nawet własne wojska od uderzenia na miasto szturmem, a kiedy się wreszcie wyczerpały inne argumenty, uznał, że Lwów wyrządza mu impertynencję nie wysyłając do traktowania z nim o pokój nikogo ze szlachty ani z duchowieństwa.

Kiedy ten ostatni zarzut podniesiony został na zgromadzeniu wszystkich stanów w ratuszu, oświadczył pierwszy władca ruski Arseniusz Żeliborski, że gotów się podjąć pośrednictwa, a za nim co znakomitsi ze szlachty i duchowieństwa. Wspaniały był więc widok dnia następnego, 16 października, gdy od furty jezuickiej konno wyjechało na górę św. Jura to poselstwo liczne i poważne, jak by jaki korowód dostojników. Na czele biskup ruski, za nim Piotr Oźga podkomorzy lwowski, uczony ksiądz Gawath kanonik kapitulny, podstarości na niższym zamku Uniszewski, burmistrz Attelmajer, rajcy Anczowski i Doleżyński, dwu Jezuitów i wreszcie ci sami posłowie, co od dwu tygodni codziennie prawie odbywali drogę do kwatery Chmielnickiego.

Ruszył się tedy kto żyw na widok „błahoczystego“ pasterza, mołojcy mu czołem bili, kłaniały mu się znaki pułkowe, u progu cerkwi św. Jura witali go pułkownicy Wyhowski, Tetera i Silnicki — sam Chmiel

wyść nie mógł, bo właśnie odbywał naradę z Buturlinem w swoim namiocie.

Pomodlił się biskup w cerkwi swojej władyczej, do której wstęp przez tak długi czas zamknięty mu był przez własnych współwyznawców, takich samych „błahoczestywych“ Rusinów jak on, a potem „*soleniter*“ w otoczeniu towarzyszy swoich i pułkowników kozackich ruszył do kwatery Wyhowskiego, a dopiero stamtąd z taką samą pompą odprowadzony został do namiotu Chmielnickiego.

Ktoby jednak myślał, że poselstwo po wzajemnem porozumieniu się i wykazaniu pełnomocnictw od razu przystąpiło do rzeczy, ten okazałby zupełną nieznajomość ówczesnych zwyczajów. Przez całe dwa dni trwały przedewszystkiem bankiety, a podczas nich rozmowy „*de moderno statu Reipublicae*“, o stanie Rzeczypospolitej i o „innych materyach, których wypisać trudno“, trzeciego zaś dnia (18 paźd.) od samego rana zaczęła się gwałtowna z obu stron strzelanina. Dziwnym jednakowoż trafem kule nieprzyjacielskie, jak o tem świadczą współczesne relacye, trafiały osoby w luźnym tylko związku z obroną pozostające. Tak też i tego dnia zranioną została jedna Niemka na wale, z tych niewiast, które szły za wojskiem w charakterze żon żołnierskich lub markietańek, druga zaś zabita została na śmierć. „Od naszej strzelby — powiada relacja — zabity znaczny oberszter moskiewski cudzoziemiec“.

Muzyce tej przysłuchiwało się poselstwo miejskie z namiotu Chmielnickiego, do którego raz wraz wpadał ktoś ze starszyny kozackiej lub moskiewskiej z doniesieniem o nowych stratach. Wpadł więc we

wściekłość Chmielnicki, ale „mitygował go J. M. X. episkop“.

Nareszcie po długich targach i groźbach, stanęła dnia 20 października ugoda. Zadecydowała ją zdaje się wiadomość o wejściu Tatarów na Ukrainę. Chmielnicki uczuł, że mu się grunt palić poczyna pod nogami. Zbliżająca się zima i trudność zaopatrzenia wojska w żywność, nieporozumienia z Moskwą, której, do niedawna samoistny prawie hetman Ukrainy a w marzeniach swoich nawet udzielną księżkę Rusi, nie mógł darować upokorzeń, a przede wszystkim wawrzynów zwycięstwa wywalczonych wspólnie, które jednak Moskwa bez ceremonii dla siebie wyłącznie zabierała. Wszystko to uczyniło umysł wodza kozackiego przystępnym do zgody, zwłaszcza, że nie było nadziei przełamania uporu miasta, ani wytargowania na nim więcej, ponadto co mieszczanie dobrowolnie dawali.

Stanęło więc na okupie 60.000 złp. (Chmielnicki żądał początkowo 400.000 złp.). Ale samo nawet znaczenie okupu inne było podówczas, aniżeli by się to dziś mogło zdawać. Okup w niczem nie ubliżał ani jednej ani drugiej stronie w tych czasach, kiedy za każdy akt prawny, za każdą protekcję, ulgę, przywilej trzeba było płacić brzęczącą monetą, kiedy nawet najwyżsi dygnitarze bez najmniejszej żenady dopraszali się składkowych prezentów, a miasto do tego stopnia przyzwyczajone było do okupywania najróżniejszych „faworów“, że akta i księgi rachunkowe dawne, posiadają na nie specjalne wyrażenia „honorationes“ lub dary „dla kontentacyi“. O innych żądaniach Chmielnickiego mowy nawet nie było. Od

padły więc wszelkie przysięgi, specjalne dary dla wojska i starszyny, wydanie ołowiu, wydanie żydów, zostawienie załogi. Dostało się tylko Chmielnickiemu „*honorarium*“ jak on sam ten okup, czy kontrybucję nazywał.

Miasto odetchnęło spokojnie. Dnia 21 października wieczorem wrócili posłowie do domu. Towarzyszył im Wyhowski z wielu atamanami i asawułami i tłumem żołnierzy. U furty jezuickiej witał go magistrat już nie jako wroga, ale jak przyjaciela, podejmując winem. Na drugi dzień Chmielnicki zaprosił do siebie Grodzickiego, dając w zamian za bezpieczeństwo jego osoby pułkowników Tererę i Silnickiego oraz kilku ze starszyny pułkowej i znowu była na ich cześć obfita wieczerza w mieście, a potem cały dzień następnego 23 października gościł Grodzicki u Chmielnickiego. Nikt jednak nie doniósł o czym mówić mogli ze sobą ci dwaj mężowie, tak różnymi chodzący drogami.

Przez kilka dni następnych wybierali pułkownicy kozaccy okup w mieście. Nie obeszło się przytem bez „wyszlamowania kilku półkufków wina“ a tymczasem sprytni kupcy lwowscy rozpoczęli ożywiony handel z Kozakami, sprzedając im co tylko się trafiło.

W ten sposób zeszedł czas aż do 6. listopada. Chmielnicki stał ciągle jeszcze pod Lwowem, a w namiocie jego rozgrywały się ważne sprawy polityczne. Poseł króla Jana Kazimierza Lubowidzki przedstawiał mu korzyści z ponownego przyłączenia się do Polski, były narady, wzajemne oskarżenia, a równocześnie przyszła wieść o wzięciu Lublina przez kozaków

i coraz to nowych nieszczęściach spadających na Polskę.

Ale Chmielnickiego nie cieszyły jakoś powodzenia oręża jego mołojców, zapadał w „melancholię“ ludzi widywać niechciał, a dnię całe przepędzał w zadumie.

Zadumę tę przerwał na chwilę huk armat. To Moskwa, z którą miasto żadnych układów prowadzić nie chciało i po prostu ignorowało jej obecność — dała znak życia i rozgniewania swojego. Był to jednak ostatni atak nieprzyjacielski, bo dnia 8. października Chmielnicki ruszył się nagle z pod Lwowa.

Na widok odchodzących pułków kozackich, wszystko co żyło w mieście, ruszyło na wały z radosnem obliczem i okrzykami. Staął sam Grodzicki chmurny jak zwykle i burmistrz i rajce i chmara pospólstwa, które zgłodzone, trwożą pięcioletniogodniową miotane, chwili owej czekało długo i z utęsknieniem. Patrzyli dzielni obrońcy Lwowa z wałów baszt i wież kościelnych, patrzył mężny Grotus z Wysokiego zamku, jak zakotłowała nagle dolina lwowska, a gwar na niej powstał, a powiały sztandary kwieciste, do odwrotu gotowe.

A oni tymczasem wieńcem barwistym stanęli, mołojcy, w okół miasta, z rozwianymi chorągwiemi z pułkownikami asawułami, atamanami, przy dźwięku trąb i litaurów. Pieśnią radosną rozgwarzyło się miasto i jego wzgórze, a ze złożonych krzyżów kościelnych, z zębatych baszt, z całego pogorzelska, z całej kopytami końskimi stratowanej ziemi, płomyki chwały wykwitły: na pokłon, na cześć, na hosanna miastu naszemu.

I stała się ziemia lwowska pełna srebrzystych skrzydeł, na których po całej znękanej Rzeczypospolitej szła gloria nieśmiertelności i nadziei.

Było górnienie i chmurnie i rycersko w onej wiekopomnej chwili.

Naraz spadła cisza ogromna na ożywione ludzkie zastępy. Opodal bramy krakowskiej stanęły „łycary“ kozackie, pułkownicy wojsk zaporozkich same marsowe, w długiej wojnie stwardniałe i zakrzepłe twarze, a od nich Wyhowski płynną głosił mowę do miasta i jego obrońców, do pana Grodzickiego, z żegnaniem i słowy dobremi.

Po tem ruszyły się pułki i jeden za drugim przepadał za wzgórzami Wysokiego zamku. I znowu dziw obleciał widzów z miasta, gdy pod samym wałem okazał się mąż na srokatym bachnacie, a groza jakaś biła od niego i niezwykła moc. Jechał pod białym buńczukiem, chorągwie nad nim wiały malinowe, a on sam z buławą, chmurny, zadumany, groźny i potężny jako hetman wojsk zaporozkich, półbóg czerni chłopskich, władca dusz milionów..

Dziw — dziw! szemrało w tłumach miejskich — Chmielnicki!

Matki pokazywały go dzieciom, kto go jeszcze nie widział patrzył długo, długo, a w duszy mu zostawał obraz niezapomniany męża, którego słup krwi i dymu w pochodzie zawsze wyprzedzał.

Patrzył też na odwrót wojska zaporozkiego z kwatery swojej od kościoła św. Krzyża Wasyl Wasylewicz Buturlin. Patrzył i rozmyślał dwa dni, a trzeciego... ruszył także swoje zastępy i szczeł z pod Lwowa,

rzuciwszy mu przez oficerów swoich słów kilka pożegnania.

W sam dzień św. Marcina, 11. listopada zagrzniało we wszystkich kościołach lwowskich uroczyste „*Te Deum*“.

Sześciotygodniowa obrona Lwowa przed tak groźnym najazdem stanowi najchlubniejszą kartę w dziejach naszego miasta, jeden z potężnych czynów mieszczaństwa polskiego, jasną kartę w dziejach Rzeczypospolitej.

Wstrzymanie nawały kozackiej i moskiewskiej — to nic jeszcze — bo w onym przeklętym czasie tyle grodów padło, Warszawa nawet... a mimo to Polska się jeszcze dźwignęła.

Rycerska przyczyna, która wyrachowanym kupcom kazała roznieść umyślną pożogę po przedmieściach, spalić własny dobytek — i to także nic... wszak równocześnie cała Polska legła w krwi i popiele.

I jeszcze nic, obrona własnych dzieci przed wrogiem — nic nawet wielkoduszny fakt, że za cenę własnego ratunku i w chwili największego niebezpieczeństwa Lwów nie wydał Chmielnickiemu żydów — ale była w tem oblężeniu Lwowa w r. 1655, była w tym potopie moskiewsko-kozackim ta jedna chwila dochowania wiary królowi i ojczyźnie tak szczytna i wzniosła, że wierszami by chyba mówić o niej, tak wiekopomna, że złote litery, za małym jej mianem.

Boć w tym samym czasie, przecież wojewodowie, hetmani podpisywali haniebne kapitulacje w Ujściu i Kiejdanach, gromadami a ochotnie składano przy-

sięę na wierność szwedzkiemu królowi, a dla Jana Kazimierza przytułku nie stało u swoich, boć przecież dokonywał się taki akt odszczepieństwa narodowego, że mu się sami zwycięzcy, cała Europa nadziwować nie mogła.

Aż tu nagle staje gromada mieszczan skromnych, cichych, lekceważonych i ta garstka swoją niezłomnością, charakterem, męstwem zmywa dużą, bardzo dużą część wstydu, który okrył współczesne pokolenie.

Więc chwała miastu naszemu i jego obrońcom. Niech staną poważne powłoczyste cienie onych mężów przed oczami naszymi dziś, w 250 rocznicę, niech się we wspomnieniu odrodzi ta wielka chwila dziejowa, a przedewszystkiem niechaj te dumne słowa posłów lwowskich, wyrzeczone w kwaterze Chmielnickiego, poparte hukami armat miejskich i strzelby cechowej spłyną dziś na nas promieniem, co oczy rozjaśnia, zapalem, co nas, potomność w jednym stawia szeregu, w jednym łączy czynie z tem starem, wiernym królowi polskiemu mieszczaństwem lwowskiem.





71194/
1

~~~~~  
Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Kopernika 5.  
~~~~~